

Rozdział 1

Ostrówek, Różany Jar, kwiecień 1906 rok

Jest taki rodzaj ciszy, która zwiastuje nieszczęście – ciężka, gęsta, przesiąknięta oczekiwaniem. Cisza, która sprawia, że nawet ptaki przestają śpiewać, jakby one też wyczuwały nadchodzącą katastrofę.

Taka właśnie cisza zapadła nad Różanym Jarem tego kwietniowego wieczoru. Fioletowy zmierzch okrywał Ostrówek jak całun. To była ta szczególna pora między dniem a nocą, gdy światło miesza się z cieniem, gdy wszystko wydaje się możliwe i nic nie jest pewne. Powietrze stało nieruchomo, choć zwykle o tej porze wiatr przynosił od rzeki zapach wiosennych roztopów. Nawet stare lipy przed dworem znieruchomiały, jakby bały się poruszyć choćby jednym listkiem.

W tej ciszy kroki Mienszykowa, Iwanowa i Kriukowa na schodach dworu brzmiały jak wystrzały. Żwir na ścieżce chrząścił pod ich butami – miarowo, nieuchronnie, jakby odmierzał czas do czegoś, co miało nadejść. Każdy krok brzmiał jak wyrok – powolny, nieodwołalny. Kriukow szedł pół kroku za Mienszykowem, jego cień na żwirze wydawał się dłuższy i ciemniejszy niż powinien o tej porze.

W oknach dworu odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca, sprawiając, że szyby zapłonęły czerwienią – jak ostrzeżenie.

Aleksandra stała w drzwiach, na swoim ramieniu czuła ciepło dłoni Stefana. Ojciec skinął jej głową – w tym geście było więcej zrozumienia niż w jakichkolwiek słowach. Wszyscy wiedzieli, że zaręczyny to tylko zasłona dymna, rozpaczliwa próba ochrony tego, co najważniejsze.

Mienszykow zatrzymał się przy czarnym samochodzie i zapalił papierosa. Błysk zapalki na moment rozświetlił jego twarz – ostrą, drapieżną.

– Panie Wołkow – jego głos przeciął wieczorną ciszę. – Jutro zapraszam pana do mnie, do Lipowej. Zatrzymałem się w domu przy rynku, tym z zielonymi okiennicami. – Uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały zimne. – Mamy do omówienia pewne... rodzinne i państwowe sprawy.

Kriukow, wsiadając do auta, rzucił im spojrzenie, od którego powietrze zdawało się marznąć. Jego usta wykrzywiły się w grymasie mogącym być zarówno uśmiechem, jak i zapowiedzią zemsty.

Gdy niechciani goście zniknęli za zakrętem, Aleksandra głęboko odetchnęła. Stefan objął ją mocniej, jakby chciał ją ochronić przed tym, co miało nadejść. Tylko Igor i Siergiej stali jak posągi – ich twarze zastygły w maskach, które nosiło się na petersburskich salonach.

– On nigdy nie przyjeżdża bez powodu – powiedział cicho Orłow, nie patrząc na nikogo konkretnego. – Ktoś go przysłał i wiele wie.

– Ojciec... – zaczęła Aleksandra, ale Siergiej uniósł dłoń.

– Nie dziś, Saszeńka. – Jego głos złagodniał. – Dziś świętujemy twoje... rzekome zaręczyny.

Igor drgnął, słysząc tę pauzę. Wymienili spojrzenia z Orłowem – krótkie, ale pełne znaczenia. Obaj wiedzieli, że tam, gdzie pojawiał się Wasyl Pietrowicz Mienszykow, następnego dnia zaczynały się aresztowania. A list, którego nie pokazał... Igor przypominał sobie plotki z Petersburga. O tym, jak Mienszykow potrafił jednym dokumentem niszczyć całe rodziny.

W oddali, nad lasem otaczającym Ostrówek, wschodził krwawy i pełny księżyc. Stefan i Aleksandra byli dziedzicami tego miejsca, zgodnie z testamentem, ale oboje czuli, że ich władanie Różanym Jarem może okazać się krótsze, niż ktokolwiek przypuszczał.

Natalia pierwsza przerwała ciszę:

– Może wejdziemy do środka? Herbata czeka.

Ale nikt się nie poruszył. Stali tak jeszcze chwilę, wpatrując się w aleję lipową, jakby spodziewali się, że automobil zawróci. W powietrzu unosił się zapach hiacyntów i nadchodzącej burzy. Gdzieś w oddali zahukała sowa, a w parku za dworem zaszeleściły kroki – pewnie któryś z młodych konspiratorów śpieszył z meldunkiem. Różany Jar żył własnym życiem, skrywając tajemnice jak studnia, której dna nikt nigdy nie zbadał. Mienszykow zamierzał być pierwszy?

Łuna nad lasem pociemniała, pierwszy podmuch wiatru przyniósł zapach deszczu. Stefan poruszył się niespokojnie.

– Muszę sprawdzić stajnię – powiedział cicho. – Jeśli będzie burza... – Nie dokończył.

Wszyscy wiedzieli, że to pretekst. W stajni, w dawnym schowku na siano, trzymali najważniejsze dokumenty. Stefan musiał je zabezpieczyć, zanim Mienszykow zacznie węszyć. Przed odejściem dotknął dłoni Aleksandry – krótko, jakby przypadkiem.

Igor obserwował tę scenę z twarzą jak maska. Jego palce, zaciśnięte na poręczach schodów, pobielały od wysiłku.

Pułkownik Orłow odchrząknął.

– Saszeńka, może rzeczywiście czas na herbatę. – Spojrzał znacząco na córkę.

– I trzeba sprawdzić, co u Zosi – dodała Aleksandra. W tym całym zamieszaniu z przyjazdem Mienszykowa prawie zapomniała o swojej służącej. Dziewczyna od rana czuła się gorzej, a teraz, w ciąży...

Spojrzała pytająco na Natalię.

– Jest w swoim pokoju – odpowiedziała kuzynka. – Kazałam jej się położyć, kiedy zaczęło się to całe przedstawienie z zaręczynami.

Ostatnie słowo zabrzmiało dziwnie gorzko w ustach Natalii. Aleksandra przyglądała się kuzynce uważnie. Coś się zmieniło w jej twarzy, odkąd Mienszykow wspomniał o liście. Jakby cień przemknął pod skórą.

Błyskawica rozdarła niebo, na moment oświetlając park. W jej świetle Igor dostrzegł sylwetkę przy furtce – wysoką postać w wojskowym płaszczu. Kiedy błysnęło ponownie, nikogo już tam nie było.

– Wejźmy do środka – powiedział stanowczo Orłow. – Ta noc jeszcze się nie skończyła.

W holu było ciepło i jasno, ale Aleksandrze wydawało się, że cienie w kątach są głębsze niż zwykle. Zatrzymała się przy schodach, nasłuchując kroków Stefana w parku. Pierwsza kropla deszczu uderzyła w szybę jak ostrzeżenie.

– Będzie burza – szepnęła Natalia, zapalając kolejne lampy.

– Już jest – odpowiedział Igor, nie odrywając wzroku od okna. – Już jest.

Dwór zdawał się oddychać niepokojem. W każdym skrzypnięciu podłogi, w każdym trzasku ognia w kominku czaiła się nerwowość. Domownicy krążyli jak zaniepokojone duchy – to wchodząc, to wychodząc z pokoi, jakby żadne miejsce nie dawało już schronienia.

Aleksandra zastała Zosię w półmroku oficyny. Dziewczyna leżała na łóżku, ale jej oczy były szeroko otwarte, wpatrzone w sufit.

– Panienka się mną nie powinna kłopotać – odezwała się, nim Aleksandra zdążyła cokolwiek powiedzieć. Jej głos brzmiał dziwnie żywo, jakby gorączka dodała jej sił. – Ja i tak stąd pójdę, do ojca wrócę. Po co mam tu ciężarem być? Panienka teraz swoje zmartwienia ma, te obce i w ogóle... – Zosia uniosła się na łokciu, a jej policzki płonęły. – A u ojca to może i krzyčeć będą, może i złorzeczyć, ale swojego kąta nikt mi nie odbierze. Bo to tak nie można, żeby panienka przeze mnie...

– Zosiu – Aleksandra przerwała ten potok słów, siadając na brzegu łóżka. Czuła pod palcami szorstkie płótno pościeli, słyszała przyspieszony oddech dziewczyny.

Pukanie do drzwi przerwało im rozmowę. Igor stał w progu, jego sylwetka odcinała się od światła lampy na korytarzu.

– Wybacz, Aleksandro, muszę już jechać. – Jego głos był miękki, ale oczy pozostały czujne. – Jutro... jutro zobaczymy, co dalej.

Kiedy wyszedł na dziedziniec, deszcz już ustał. Mokry żwir chrzęścił pod butami, gdy kierował się w stronę stodoły. Znalazł Stefana dokładnie tam, gdzie się spodziewał – na stercie siana, z kolanami podciągniętymi pod brodę jak chłopiec. Blask latarni rzucał na jego twarz głębokie cienie.

– Musisz zniknąć – powiedział bez wstępu Igor. – Dziś, zaraz.

Stefan nawet nie drgnął.

– Żebyś miał wolną drogę? – Jego głos ociekał goryczą. – Żebyś mógł udawać narzeczonego bez przeszkód?

– Żeby ona miała szansę przeżyć to, co nadchodzi. – Igor postąpił krok do przodu. W jego oczach błysnęła stal. – Mienszykow nie przyjechał tu z kurtuazji. On...

– On co? – Stefan zerwał się na równe nogi. Stali teraz twarzą w twarz, dwa cienie w półmroku stodoły. – Myślisz, że nie widzę, jak na nią patrzysz? Jak wszyscy udajecie, że te zaręczyny to tylko gra? Przecież ty chciałyś, żeby to była prawda.

– Jeśli zostaniesz, zginiesz. – Igor cedził słowa przez zaciśnięte zęby. – A ona razem z tobą.

Przez moment wydawało się, że Stefan go uderzy. Zamiast tego roześmiał się – krótko, bez wesołości.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Dobrze.

Godzinę później, gdy księżyc przebijał się przez chmury, przemyczał przez park z małym zawiniątkiem pod pachą. Każdy krok był jak kamień u szyi – ciężki od wyrzutów sumienia. „Nie odchodź więcej bez pożegnania – jej słowa z ostatniej rozłąki dźwięczały mu w uszach. – Nie zniosę kolejnego poranka, gdy okaże się, że zniknąłeś bez wieści”.

A teraz? Znowu wymykał się jak złodziej z własnego domu. On – dziedzic Różanego Jaru, on – który przysięgał, że niczego się nie boi. Kłamstwo. Bał się. Nie śmierci – tej nigdy się nie lękał. Bał się, że Igor może mieć rację. Że jego obecność sprowadzi na nią nieszczęście, że już zawsze tak będzie.

Przystanął przy różanym żywopłocie. Kiedyś, dawno temu, właśnie tutaj pocałował ją po raz pierwszy – tak namiętnie. Aleksandra plotła wtedy wianek z polnych kwiatów, a w jej włosach błyszczały krople rosy. „Zostań – szeptała wczoraj, wtulona w jego ramię. – Nie możemy wiecznie uciekać. Ojciec nam pomoże”.

Nie możemy. A jednak właśnie to robił – uciekał. Kolejny raz. Jak tchórz, jak... Zacisnął pięści. Nie, nie jak tchórz. Jak człowiek, który ma więcej do stracenia niż własne życie. Bo jej życie i wszystkich we dworze było więcej warte niż jego głupia duma.

Księżyc schował się za chmurą, kiedy Stefan przekraczał granicę parku. Nie obejrzał się za siebie. Wiedział, że jeśli to zrobi, jeśli zobaczy światło w jej oknie – nie zdoła odejść. A musiał. Dla niej. Zawsze dla niej. W kieszeni trzepotał list – niedokończony, nedoręczony. „Moja najdroższa...” Nie, tym razem nie będzie listu. Listy można przechwycić, listy mogą zabić. Tylko pamięć pozostanie bezpieczna – pamięć jej uśmiechu, jej głosu, zapachu jaśminu we włosach. I może tym razem los okaże więcej łaski. Może tym razem rozłąka nie potrwa długo.

W salonie Siergiej i Natalia trwali przy stygnącej herbacie. Cukier na spodku rozpuszczał się nietknięty, tworząc lepką plamę. Natalia bawiła się łyżeczką, wystukując na porcelanie jakiś nieistniejący rytm.

– Wiesz – odezwała się nagle – zawsze zastanawiałam się, dlaczego herbata w nocy smakuje inaczej.

Siergiej uniósł brew.

– Bo w nocy – odpowiedział powoli – wszystko smakuje jak tajemnica.

Zapadła cisza przerywana tylko tykaniem zegara i trzaskiem dogasającego ognia w kominku. Siergiej patrzył na swoją filiżankę, jakby na dnie szukał odpowiedzi na pytania, których jeszcze nie zadał.

– Miałas rację, Natalio – odezwał się wreszcie, a jego głos był ochrypły, zmęczony. – Powinienem cię wtedy posłuchać. To miejsce... – Urwał, szukając słów. – To miejsce zawsze przyciągało nieszczęście. Najpierw Maria, teraz... – Potrząsnął głową, jakby odpędzał niechciane myśli.

Natalia przestała stukać łyżeczką.

– Nie mogłeś wiedzieć – powiedziała cicho.

– Mogłem. – W jego głosie zabrzmiała gorycz. – Mogłem nie pozwolić jej tu przyjechać. Różany Jar to pułapka, zawsze nią był. Szczególnie teraz, w tych czasach, gdy każdy czyhający w cieniu może okazać się donosicielem. – Odstawił filiżankę. Porcelana zabręczała głucho o spodek. – A ja? Pozwoliłem własnemu dziecku wpaść prosto w sidła. Saszeńka jest jak jej matka. Zbyt ufna, zbyt...

– Zbyt podobna do ciebie – przerwała mu Natalia. – Ma tę samą siłę.

Siergiej spojrzał na nią z ukosa. Płomień świecy odbijał się w jego oczach jak dalekie wspomnienie.

– Siłę? – zaśmiał się cicho, bez wesołości. – Czy siła wystarczy, gdy Mienszykow zacznie swoje śledztwo? Gdy zacznie grzebać w przeszłości? On nie przyjechał tu dla zaręczyn czy plotek o konspiratorach. On... – Urwał, wsłuchując się w nocną ciszę dworu.

Natalia czekała, aż dokończy, ale Siergiej zapatrzył się w okno, za którym księżyc przedzierał się przez chmury. W jego twarzy było coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziała – strach. Nie o siebie, ale o to wszystko, co mogło runąć jak domek z kart za jednym podmuchem wiatru historii. Uwięziony między miłością a obowiązkiem. Kolejny raz.